Ner 31. Kraków 6 listopada 1869. Rok IV.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

KALINA

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni **J. Czecha** hotel drezdeński i **F. Baumgardtena** w głównym rynku.
Listy należy adresować: do Administracyi Kaliny" — w Krakowie.

Czechy i Polska w XV wieku.

przez

Wincentego Sarneckiego.

(Dokończenie).

Niepospolicie trudne zadanie spoczywało na namiestniku utrzymanie węzła w myśl idei uniwersalno-słowiańskiéj, zanim nie ustąpią przeszkody do zupełnego połączenia. Do spełnienia swéj missji wziął się dzielnie. Wystawiony na groźną walkę z potęgą cesarską, starał się przedewszystkiem zyskać siłę państwa przez pogodzenie dwóch stronnictw, które wyrobiły się w łonie hussytyzmu: kalixtynów, umiarkowanych i radykalnych Taborytów. Pozyskawszy sobie wodza tych ostatnich Zyskę, jak wogóle całą Czechię hussycką przyjęciem kommunii pod dwoma postaciami, z wielką radością witany w Pradze, wziął się dzielnie do mierzenia z wojskami cesarskiemi. — Tymczasem w skutek pokoju z zakonem, wyrzekającym się Żmudzi roku 1422, i z Zygmuntem cesarzem, tudzież w skutek listu powtórnego Marcina V, Jagiełło odwołuje Korybuta z Czech.



WJAZD DO SKAŁY.

Wrócił do Polski znaglony rozkazem królewskim Korybut po jednorocznym namiestnictwie w Czechach, i przysięga, iż nigdy do Czech nie zajrzy. Ale nie Korybutowi zostawać bezczynnie w Polsce, blask korony ma swój powab, a może bardziéj paliła go chęć urzeczywistnienia idei uniwersalno - słowiańskiéj, któréj Polska katolicka podjąć się nie mogła; pewność korzyści ojczyzny skłoniła go do śmiałego kroku. Gdy po jego opuszczeniu Czech wszczęła się tam wojna domowa między wspomnianemi dwoma stronnictwami Taborytów i Kalixtynów a poselstwo czeskie do Jagiełły spotkał w Wiślicy interdykt, rzucony przez Zbigniewa Oleśnickiego, Korybut uszedł potajemnie do Czech r. 1424. Udaje mu się powtórnie pojednać stronnictwa hussyckie, a nawet pociągnąć do zgody stronnictwa katolickie, i odnosi wiekopomne zwycięztwo nad rzeszą niemiecką w bitwie Aussing roku 1426. Dziwy opowiadają nam kronikarze o téj bitwie; — zabrano wozów naładowanych skarbami 2,500, armat 180, namiotów 4,000. — Oręż czeski stał się strasznym dla Niemiec. Z powrotem do Pragi wdzięczny naród usciela drogę kwiatami Ko-

rybutowi, gdy z drugiéj strony papież rzuca klątwę na niego i wzywa Jagiellę do wyprawy krzyżackiéj przeciwko heretykowi. Wyprawa nie doszła do skutku, gdyż koszta jéj miały powstać z podatku nałożonego na duchowieństwo polskie.

Tymczasem Korybut zyskawszy sobie sympatję i ogromną popularność w Czechach, podjął się niebezpiecznéj missji pojednania hussytów z kościołem rzymskim. Rokowania w tym celu z stolicą papieską nie mogły pozostać długo w tajemnicy. Zamiarami swemi odstręczył od siebie Korybut Czechów, którzy niechęć swą sformułowali w spisku Rokiczany. Korybut znaglony uchodzić z Czech. Naturalnie że nie mógł powracać do Polski; osiadł na Szlązku w Glewicach, miasteczku obronnym, zkąd ucierał się z Niemcami.

Z rokiem 1431 obudziły się pewne nadzieje dla Korybuta. Papież przekonany że siłą nic nie wymoże na hussytach, a szukając pośredników do zgody, nie mógł trafniéj wybrać jak jednoplemienną Polskę. Jagiełło przyjąwszy rolę pośrednika, wezwał hussytów do Krakowa, a jednocześnie wrócił i Korybut do Polski.

Przybyli doktorowie czescy do Krakowa z indultem papieskim, odbyła się i dysputa publiczna, w któréj jak zwykle, każda strona pozostała przy swych przekonaniach. Dalszéj dyspucie przeszkodził interdykt Zbigniewa Oleśnickiego, a posłowie wyproszeni zostali na Kazimierz między żydy. Ubodło to lekceważenie do najwyższego stopnia posłów czeskich; między oburzonym Korybutem wyrzucającym fanatyzm biskupowi a Zbigniewem Oleśnickim przyszło do gróźb: „Zabiję i dobra twe spustoszę — wołał Korybut — jeżeli nam daléj będziesz dokuczał.“ — „A ja twoją zuchwałość na proch zetrę“ — odpowiedział Zbigniew. — Usiłowania pojednawcze spełzły tedy na niczem. Dopiero na soborze Bazylejskim przyszło do pojednania się hussytów z kościołem. Sobór dozwolił komunii pod dwoma postaciami i zezwolił na tolerowanie czterech artykułów, noszący odtąd w historji nazwisko *kompaktatów*.

Jednocześnie z tym wypadkiem w Czechach zachmurzył się widnokrąg polityczny nad Polską. Słowa posłów czeskich w Wolborzu wyrzeczone do króla, nie były fałszywym proroctwem. Od południa groził cesarz Zygmunt z Węgrami, od zachodu książęta szląscy w porozumieniu się z pierwszym, od północy zakon krzyżacki, a od wschodu Skirgiełło ustanowiony po śmierci Witolda wielkim księciem Litewskim, a podżegany w separatystycznych zachciankach przez zakon i cesarza. Gdy więc Polska miała walczyć o byt swój polityczny, Czesi zapominając uraz, do czego mieli najzupełniejszą słuszność, a żywiąc nadzieję że przecież teraz da się pociągnąć Polska do związku międzynarodowego, wywołanego wspólnością interesu, wysłali posłów do króla, ofiarując 30,000 piechoty i 6,000 jazdy przeciwko krzyżakom, mianując wodzem tego wojska Zygmunta Korybuta. Stara historja powtórzyła się najdosłowniéj, — interdykt Zbigniewa Oleśnickiego wypłoszył posłów czeskich z Krakowa, co doprowadziło do silnego starcia się w słowach króla z biskupem. Na ten raz stronnictwo świeckie przemogło nad duchownym, wzgląd polityczny wziął przewagę nad interesem kościoła. Nastąpiło połączenie się wojsk w okolicach Głogowy, a walka z zakonem szczęśliwie ukończoną została. O Korybucie w czasie téj wojny nic nie słychać; wypadłszy raz z łaski królewskiéj nigdy już do niéj nie wrócił. Zawiedziony i upokorzony w swych nadziejach Korybut, nie stracił jednakże energii. W ruchu separatycznym Skirgiełły upatrywał dla siebie źródło do wyniesienia się i uskutecznienia wielkiéj myśli oswobodzenia Polski z pod przewagi kościoła i połączenia Litwy, Polski i Czech; ten jako naczelny dowódzca sił Skirgiełłowych pobity pod Wilkomierzem dostał się do niewoli r. 1435, i zginął w więzieniu od zadanéj trucizny. Nie naszém zadaniem jest śledzenie, czyja ręka w téj zbrodni czynną była.

Tymczasem Czesi zrażeni ostatecznie śmiercią Korybuta, oddali rządy Zygmuntowi, pod warunkiem szanowania kompaktów Bazylejskich. Teraz dopiero otworzyły się oczy Polakom, a faktem uderzającym jest, że poselstwo ówczesne do cesarza, złożone było tylko z panów świeckich.

Myśl Korybuta nie zamarła z nim razem w więzieniu, jeszcze raz zajaśniała całym swym blaskiem po śmierci cesarza roku 1437. Lecz i teraz wpływ potężny Zbigniewa Oleśnickiego i możnowładztwa duchownego przeparł zdanie panów świeckich, i wysłał młodzieńczego Władysława do Węgier i zgotował mu zawczesną śmierć pod Warną. Jestto ostatni błysk idei uniwersalno-słowiańskiéj Korybuta, zaniedbana przez długie powodzenie Polski w następnych wiekach, dopiero w dniach niedoli zajaśniała swą prawdą, wskrzeszona przez ludzi pojmujących wynikające z niéj korzyści tak dla całéj słowiańszczyzny jako też dla interesu autonomicznego pojedyńczych narodów jednoplemiennych. Myśl tę podniósł ks. Adam Sapiecha na posiedzeniu klubu rezolucjonistów we Lwowie względnie do Czech, my ją uogólniamy na całą słowiańszczyznę, twierdząc, że nie panslawizm, ale federacja ludów słowiańskich, oparta na interesach wspólnych obrony przeciwko wpływom germanizacyjnym i despotycznym caratu moskiewskiego, federacja niszcząca nihilistyczne dążności tegoż caratu, federacja oparta na wspólnych korzyściach z takiego połączenia i na wzajemném poszanowaniu autonomii części składowych. — Kończymy tedy słowami, któremi rozpoczęliśmy, że hasłem ludów słowiańskich w XIX wieku, może być tylko federacja nie panslawizm. Pierwsza tworzy, drugi niszczy. — Federacja, to wolność, swoboda, autonomia. — Panslawizm, to nihilizm!

ŻYCZENIE.

Minęła wiosna, minęło lato,
I smutna jesień już mija —
Każdy dzień nową żegna mnie stratą
I resztę łez mych wypija.

Skończy się jesień, nadejdzie zima,
Pajęcza zerwie się przędza —
Serce chwil jasnych w locie nie wstrzyma...
Zostanie rozpacz i nędza.

I zima minie, i świat na nowo
Przybierze postać wiośnianą;
Lecz mnie nie zbudzi miłości słowo —
Umarli z grobu nie wstaną!

Na godach życia, duchem i ciałem
Inni już będą przytomni...
Lecz niech to dziewczę, które kochałem,
Czasami jeszcze mnie wspomni!

El...y.

PENSJONARKA.

Powieść ***Marka Wowczka*** (pani Markowicz),
przełożył z ukraińskiego **P. Stachurski.**

(Ciąg dalszy).

XXIX.

Katarzyna, chociaż i mówi i żartuje, a zawsze zdaje się być smutną i niespokojną.

Babusia siedząc za stołem, cichutko i wesolutko, zamyśliła się. Tylko Nazar wygaduje i śmieje się, błyskając przed kagankiem zębami. A zęby, powiadam, śmietana!

Na tego parobka ja już nie patrzyłam.

— A co ptaszyno — pyta mnie babusia — dawno służysz przy młodéj pani?

— Jaka ona piękna! — zrobiła uwagę molodyczka!

— Co po jéj piękności! — zawołał Nazar — gdy patrzy tak, że mleko kwaśnieje od jéj spojrzenia!

— A nasz pan taki dobry — mówi molodyczka. — On pewnie jeszcze nikogo nie skrzywdził.

— Daj mu Boże i żonę dobrą! — dorzuciła babusia.

— Jak to nam teraz będzie! — smutnie zapytała molodyczka. Westchnęła i zamyśliła się. — Jak to będzie? — znów pyta zcicha, patrząc na mnie, jakby pytała oczyma.

A ja milczę.

— Będzie, jak Bóg da! moje serce — powiada babusia.

— Co będzie to będzie, wszystko przebędziemy! — zawołał Nazar. — A teraz bierzmy się do klusek! Ty czemu nie idziesz? Prokopie! Pani w oko ci wpadła? czy ta krasawica, może?

I mrugnął na mnie.

— Bodajbym téj pani i we śnie nie widział — przemówił parobek, siadając koło mnie. — Gdzie się ona zrodziła, taka nieprzyjazna!...

Wtedy molodyczka do mnie: Dziewczyno serdeńko! powiedz nam prawdę szczerą, jak dusza do duszy!...

I urwała. Wszyscy patrzą na mnie z uwagą... I parobek oka ze mnie nie spuszcza... Gdyby mi nie ten parobek, wszystko jeszcze byłoby dobrze; a przy nim sromam się i czerwienieje, mało nie płaczę...

— Dziewczyno! zła nasza pani! — przemówiła Katarzyna.

— Niedobra, powiadam jéj.

— Boże miłosierny! — krzyknęła. — Przeczuwało moje serce, przeczuwało! Dziecino moja!...

Rzuciła się do kołyski, pochyliła nad dzieckiem. Tegóż to spodziewałam się, swobodna idąc za mąż za poddanego!... Ona już nas okiem swém pożarła!...

I płacze tak, płacze, łza za łzą płynie.

— Nie taki djabeł straszny, jakim go malują! — powiada Nazar. — Czego się lękać! Najpierw się przekonamy!

A ona płacze, martwi się, jakby w saméj rzeczy jéj dziecko pożarła, okiem pani.

— Dość już! dość, gołąbko! — uspakajała babusia Katarzynę. — Poco trwożyć się zbytecznie? Czy to nad nami nie ma Boga miłościwego!

Parobek nie przemówił ani słówka; tylko gdziebym nie rzuciła okiem, zawsze spotkam się z jego spojrzeniem.

XXX.

Powieczerzawszy i przeżegnawszy się, biegnę nazad do dworu, a za mną: Dobra noc ci dziewczyno!

— Dobra noc! odpowiadam, i wskoczyłam do sieni.

Weszłam do garderoby, serce tak mi bije, tak bije!.. Myślę też, myślę... Jak to on wpatrzył się we mnie oczyma!... I moja pani także mi na myśl przychodzi... Ledwie-m nogą stąpiła, już wypadło wszystkich zasmucić!... I czego ten parobek czepia się do mnie?... Bodajże go! jaki przystojny!... Księżyc przedemną w pełni...

„Oj miesiaciu miesiaczeńku! (Oj księżycu, księżyczeńku!
Ne swity nikomu..." Nie świeć ty nikomu...)

Pieśń tak i podmywa mi duszę... Sama nie wiem, czego chce ona? Czy, żeby znów ozwał się pod okienkiem... czy, żeby nie przychodził?...

XXXI.

Mija dzień, tydzień, miesiące, i pół roku, z wodą ubiegło. Zda się w futorze cicho i spokojnie: kwitnie fu-

tor i zielenieje! A gdyby kto popatrzył, co się tam przygotowywało, co robiło?... Ludzie budzili się i zasypiali płacząc i przeklinając. Wszystkich w swe jarzmo wprzągnęła młoda pani... Każdemu ciężką pracę, zaś wynalazła licho piekące!... Kalecy nieszczęsni, dzieci, maleństwo, i ci nie próżnowali. Dzieci ogród zamiatały, pasły indyki; kaleki siedzieli w ogrodzie, wróble płoszyli, ptactwo wszelkie... A wszystko to umiała pani zaprawić jakiémś dopiekaniem, przykremi słowami... że każda praca zdawała się być gorzką pracą niewolnika.

Jakby sto ócz miała: widziała wszystko! jak jaszczurka zwijała się po całym futorze! i Bóg wié co jéj było takiego! spojrzy, to jakby cię ręką za serce ścisnęła!...

A panowie sąsiedzi naszą panię chwalą, wychwalają: Oto gospodarna! oto rozumna! Mniejsza że młoda! wszystkimby nam do niéj na naukę!

Z początku ludzie mieli nadzieję, że pan ujmie się za nimi; ale wkrótce wyrzekli się myśli i nadziei. On był dobry, bardzo dobry pan, ale słaby, nie przydał się na nic! Probował on żonę hamować w zapędach... ale ona nie taka!... Wkońcu już i napomknąć o tém nie śmiał, jakby nie widział, nie słyszał... Nie było w nim siły i mocy. Powiedziano: dobry pan „Nie bije nie łaje, ale też i nie dba o ciebie!“

Jak zacznie pani krzywić się, a wykrzykiwać, on jéj ręce i nogi całuje, płacze i sam ludzi łaje. Bodaj was to a to spotkało!... Ot żony mnie pozbawią!...

— Nic z niego nie będzie!—powiada Nazar.—Widziałem, że kwacz! jeszcze wtedy, jak to on Guścię objadem nakarmił!... Gdyby mnie dostała się taka żona, osadziłbym ją na mrowisku, niechby stękała!

I zaśmieje się na całe gardło. Taki to już był człowiek z tego Nazara; wszystko w żart obróci! Zdaję się, piecz go ogniem, a on jeszcze żartować będzie.

A wiele Katarzyna łez wylała!... Zkąd jéj się tyle łez bierze?... Weźmie dziecko na rękę i płacze, płacze, aż wkońcu głośno zajęczy.

I Prokop bardzo posmutniał. Zawsze zamyślony, i już nie żartuje ze mną.

— Oto już posmutnieliście!... — powiedziałam doń pewnego razu (było to wieczorem o zmroku). —Czegoście tacy smutni?

A on wziął mnie za rękę, przyciągnął do siebie i pocałował. Zanim się opomiętałam, już go nie było w chacie!

XXXII.

Wszyscy ludzie zwiędnieli, stracili na duchu; tylko babusia trzyma się jak dawniéj. Chociaż jak łaje, chociaż jak krzyczy na nią pani, babusia nie trwoży się, nie korzy: idzie krokiem równym, mówi spokojnie, jasno spoziera jasnemi oczyma swemi. I ani wiesz bywało jak przytulisz się do niej, zapłaczesz, ot jak dziecię garnie się do swéj matki.

Boże! jak smutnie, jak się smutnie żyło! Nie słychać śmiechu, nie słychać głosu ludzkiego. Żywa dusza nie dowié się do dworu, chyba za jaką sprawą, a tak ogląda się bojaźliwie, tak się pospiesza, jakby mu przypadło z puszczy wyrywać się od zwierza.

Spóźniłam się jakoś podczas wieczerzy, i biegnę prędziutko. — Czemuż to choć Prokop nie przyszdł na wieczerzę? myślę. A on jakby się urodził przed mojemi oczyma. Przejął mnie i obejść nie pozwala.

— Guściu! powiedz mi prawdę: czy ty mnie kochasz?

Uciekłabym od niego; ale mi nogi nie służą... Stoję, pałam...

Wtedy on wziął mnie za rękę. Obejmuje, ściska; a wciąż pyta: Czy kochasz? taki dziwny!

Usiedliśmy. Pomówili z sobą, pocałowali się, licho w niepamięć poszło! Wesoło mojéj duszy, i świat mi miły! a wszystko w świecie takie piękne, takie roskoszne!... Musiało być tak, skoro i pani spostrzegła: — Co ci to?... powiada. — Coś się tak zaczerwieniła, jakby cię obito? Możeś co ukradła?...

XXXIII.

Boże mój miły! z jakiém upragnieniem wyglądam tego cichego, ciemnego wieczoru!... Pani każe pójść na wieczerzę. Prokop czeka na mnie. Spotka mnie, postoimy oboje, wylejemy swe żale... Bo we dnie chociaż spotkamy się ze sobą, tylko spojrzymy jedno na drugiego... nie przemówimy ani słówka, rozchodzimy się.

— Na biedę wyście się pokochali! mówi bywało Katarzyna.

— Djabłoś ty rozumna, moja kochana!—żartuje z niéj Nazar. — Gdybyś mnie teraz pokochała raz drugi, oblizałabyś tylko paluszki!...

— Czy to mi kochanie na myśli!... Ot i tych dwoje martwią moje serce, gdy pomyślę, podumam.

— Po co wy martwicie dziewczynę i straszycie przed czasem! — ozwie się babusia. — Skoro już pokochała, niechaj kocha; snać to było jéj losem!

XXXIV.

A pani z każdym dniem staje się bardziéj złośliwą, złą bardziéj! Gdybym się chwilkę zabawiła, spóźniła: — Gdzie byłaś? — i spotka mnie zła godzina na pańskim progu!...

Z początku martwiłam się wszystkiém bardzo; a daléj nic mnie już nie dziwiło; hańba krzywdzić przestała. Powiedziano: „Wstań licho i nie kładź się!“ Bywało gdy łaje, dokucza... nie mam siły, łzy popłyną! A napłaczę się dobrze, obetrę oczy, już em wesoła! żartuję, daléj na różne pustoty!... I kosa zapleciona drobniutko, i koszula biała na mnie, ani się żalę przed nikim! Co mi pomogą? tylko własne licho ciężkie przypomną sobie!..

A Prokop, jak ta noc ciemna chodzi, i już mu wtedy ani do jedzenia, ani do picia, ani do rozmowy!...

Boże ty mój! Swoja bieda, cudza bieda! ani wiesz co robić, co począć! Dziecko Katarzyny zachorowało. A tu objad gotuj dla państwa, zgotuj wieczerzę, kopaj w ogrodzie, obsiewaj... A pani jeszcze: — Nic nie robisz, ladaco! Daremnie chleb mój zjadasz! Ja cię tu nauczę pracować!...

Całą noc nie śpi Katarzyna przy dziecku. Ze świtem do roboty! Wtedy babusia pilnuje malutką, pociesza Katarzynę. To dziecię do niéj wyniesie, to sama wyjdzie i powie: Uspokoiła się malutka! albo: śpi mała! I jak to błogosławiństwo boskie dopomaga nie zmęczona, zawsze czynna.

— Czego wy tak Katarzyno pracujecie bez wytchnienia? powiadam jéj.

— Będę pracować, będę pracować, póki siły starczy. (A oczy jéj błyszczą, głęboko pozapadałe). Może jéj dogodzę, może się zlituje!...

Otóż nie dogodziła i nie zmiękczyła jéj serca. Pracowała i nie spała, aż ją zmógł sen, bez pamięci, przy kołysce. Ocknęła się... do dziecka! a ono już na drodze do Boga... Tylko spojrzała nań matka nieszczęśliwa, tylko go przytuliła do serca, skonało!

Rozpaczała Katarzyna, męczyła się i cieszyła, biedna.

— Niechże moje dzieciątko, moje kochanie najmilsze będzie aniołątkiem bożém, nie będzie znać nędzy, moje najcudniejsze! A wkońcu krzyknie: A ktoż do mnie wyciągnie lube rączęta? kto będzie moją radością na tym świecie?... Dziecino moja! porzuciłaś mnie, porzuciłaś biedną!

Nazar, jakby nic, uspakaja Katarzynę. Pociesza młodym jéj wiekiem... A silny głos jego drży, łzą zmiękczony... zdala od innych, oddaje się smutkom.

Po tém nieszczęściu całkowicie zapadła na zdrowiu Katarzyna. Nie już pracować, ale chodzić siły nie ma. A pani, jak dawniéj: Czemu nie idziesz do roboty? Ja tobie! to-a drugie!...

— Teraz się ja pani nie boję! — odpowiada Katarzyna — Żywą mnie teraz zjedzcie!

Dałaż się jéj pani we znaki!

— Prokopie! powiadam. Co to z nami będzie?...

— Guściu, gołąbko! związałaś mi ręce?...

XXXV.

Wypędziła pani Katarzynę na pańszczyznę, ze dworu; nie uważała nawet na jéj męża, woźnicę.

Pan, w tajemnicy przed panią, dał jéj rubla srebrnego, ale go nie przyjęła Katarzyna, odrzuciła precz, jak gadzinę, te pieniądze! Jakże upadł ten rubel na murawę, tak też zaległ tam, aż zczerniał, przez nikogo nie podjęty. Dopiero pani, chodząc po podwórzu, dostrzegła go i podjęła.

— To zapewne ty siejesz pieniądze? — powiada do pana — Boże mój! Boże!

Pan nic na to nie odpowiedział, tylko poczerwieniał bardzo.

A Katarzyna nie chciała żyć na świecie. Coś jéj się stało od ostatniéj hańby. Biegała po gajach, po błotach, szukając swego dziecięcia, a wreszcie utopiła się biedaczka.

Pan bardzo się zmartwił; a pani: Masz się téż smucić czego!

— Nie uważałaś, że ona oddawna była nawiedzoną? I. oczy jakieś straszliwe... przemówi, zawsze nie do rzeczy!

Nawiedzona i nawiedzona!... Cóż lepszego!... Udecydowali tak pomiędzy sobą i byli spokojni.

XXXVI.

Zgodzili jakiegoś moskala z miasta za kucharza. Dziwny to był człowiek! Gdy ugotuje jeść państwu, sam się naje, to położy się na ławie i gwiżdże, gwiżdże... a raptem, jak zaśpiewa! głośno, cieniutko, jakby piał kogut.

Ten, bywało, nigdy nie troszczy się naszą biedą. Zapyta tylko:

— Bito dzisiaj? i doda: Inaczéj być nie może! na to jest służba!

Nazar także się odmienił; stracił dzielność dawniejszą, a wciąż żartuje! Gdyby mi chociaż jeden dzień kto posługiwał, miałbym dość do śmierci!

Pani chwali bardzo tego kucharza, że taki on powiada człowiek do rzeczy, tak mnie szanuje! A on bywało gdy stanie przed panią, to wyciągnie się jak struna, ręce opuści na dół, oczy wytrzeszczy na nią: Łapałem rabe prosię; uciekło rabe prosię w burzany; więc ja do czarnego prosięcia! złapałem czarne prosię, osmaliłem czarne prosię i upiekłem czarne prosię!...

Odbębni tak wszystko i czeka: co mu pani odpowie; oczami tylko łyp, łyp!...

A pani doń raz za razem: Dobrze! dobrze! wszystko dobrze! Tylko się pilnuj, byś nie zleniwiał pomiędzy moimi nicponiami!...

— Nie ośmielę się nigdy, jaśnie pani!

Ukłoni się jéj nisko, ruszy nogami na prawo, na lewo... i z pokoju! na ławkę, i znów gwiżdże.

— Bodaj was! — powiadam mu jakoś — kiedy wy już gwizdać przestaniecie! Tu licho, tu napaść, męki serdeczne, a wy...

— Nie martw się, nie martw, dziewczyno! Na to ona zowie się „służbą.“ Widzisz: wiele u mnie zębów pozostało! Na służbie patraciłem. Był u nas kapitan, uch!

I tylko uchnął.

— A ty co myślała? Jak żyć na świecie? jak służyć? jak się wysłużyć?...

Ciebie biją, rwą, tormoszą, łają, a ty stój! nie mrugnij!... Ha! strzeż Boże!

Wymówił to, i znów gwiżdże! A Prokop, z pasji, aż fajkę z zębów rzucił na ziemię.

— Woły w jarzmie, a i te ryczą! a dusza chrześcijańska miałaby każdą przykrość, krzywdę każdą cierpieć i nie rzec słówka! — krzyknął na moskala, aż ten gwizdać przestał. Patrzy na niego, jak baran na nowe wrota.

— Nie taka moja swada! — mówi Prokop. — A tak: albo ratuj się, albo przepadaj!

— A u mnie znów taka swada: „uciekaj!“ — dziko zaśmiał się Nazar. — „Wędróweczka, rodzona cioteczka!“

— Złapią! — krzyknął moskal, zerwawszy się z ławy. — Złapią . . . zginąłeś!

Jak tam komu było w sercu, a wszyscy się zaśmiali.

— Nie każdy kapitan mocny w nogach! — powiada Nazar. — Nie jeden pobiegnie i spotknie się . . . Powiedz lepiéj: dokąd uciekać? Od jakiéj biedy uciekłeś, taką znów spotykasz! Z deszczu pod rynnę . . .

„Wszędzie pany — wszędzie kniazie!“

zaśpiewał, jak w dzwon uderzył.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Teatr. — („Balladyna“ tragedja p. *Słowackiego*. — „Nasi najserdeczniejsi“ komedja p. *V. Sardou)*.

Ostatnie przedstawienie „Balladyny“ było pistoletem na dobicie resztek chęci naszéj publiczności do uczęszczania na przedstawienia poważnych dramatów. Smutnego zaiste rozczarowania doznał każden co znając zarówno wspaniałe strony utworu Słowackiego z czytania, jak niepospolite siły naszego teatralnego personału ze wszystkich prawie dotychczasowych produkcji, widział Balladynę po raz pierwszy na scenie.

Balladyna jako utwór artystycznéj fantazji poety i Balladyna jako dzieło sceniczne to są niezmierne różnice. Tam podziwiamy twórczą potęgę ducha, unosimy się nad pięknością formy a pociągnięci siłą słowa dążymy bez wytchnienia przez ciemne labirynty treści do światła. Tu zaś zostajemy w nieustannym chaosie i znużeniu, po kilku bowiem wstępnych scenach otaczająca całość utworu nitka dramatycznéj jedności urywa się, a poćwiertowany ołówkiem i nieustannym zapadaniem kurtyny poemat dramatyczny mniéj jeszcze warunkom sceny odpowiada aniżeli przed tą konieczną amputacją.

Balladyna ma wiele bardzo równie pięknych jak silnych ustępów, obfituje ona zarówno w głębokie myśli jak w życiową prawdę takich postaci jak Balladyna, Alina, ich matka i awanturnik von Kostryn; wszystko to jednak jest luźne a organicznego powiązania nie dojrzy tam najzapaleńszy nawet czciciel Słowackiego. Dodajmy do tego brak kulminacyjnego punktu, nieokreślone dla sceny znaczenie fantastycznych postaci, częste a długie przestanki, dość mierną grę artystów urozmaiconą wyrazistemi interwencjami suflera i mniéj jak mierną wystawę, a będziemy mieli obraz wrażeń tłumnie zebranéj publiczności. Dyrekcja naszego teatru nie może nas pod żadnym pozorem pomówić o nieprzychylne dla siebie usposobienie, oddawaliśmy jéj bowiem i oddajemy słuszność pod każdym względem, niechże nam zatem pozwoli powiedzieć sobie że takich kostjumów, takich wierzb płaczących i takich obłoków pokazywać dziś niepodobna. Pojmujemy bardzo że teatr krakowski i obojętność naszéj publiczności na wielkie nakłady nie pozwala, lepiéj zatem wykreślić z repertoaru sztuki wymagające większéj wystawy zwłaszcza sztuki tak małéj scenicznéj wartości jak Balladyna, aniżeli wyciągać na scenę odwieczne graty.

Gra artystów naszych tą razą nie odpowiedziała zwykle zadowolnionym oczekiwaniom. Stosunkowo najlepiéj z ról swoich wywiązali się p. *Benda* (Grabiec), p. *Nowakowska* (Goplana) i p. *Hoffmann* (Balladyna) téj ostatniéj robimy jednak zarzut, że scena zabójstwo siostry, tragicznym wymogom chwili bynajmniéj nie odpowiadała. Popęd zbrodniczy leży niejako w naturze Balladyny, lecz wykonanie pierwszego czynu zbrodni, biorąc rzecz ze stanowiska psychologicznego, może być dwojakie: albo ulegając chwilowemu parciu wewnętrznego demonizmu rzuca się Balladyna na siostrę z szybkością drapieżnego sępa i w tym razie cios jéj noża jest gwałtownym i przerażającym jak piorun, po którym następuje bezpośrednio ciemność rozpaczy i ponure gromy złorzeczeń; lub też przystępuje do czynu z rozmysłem z wpierw już ukartowanym planem (jak nóż to dowodzi), a wówczas stoczyć musi walkę sama z sobą, pasować się i zaznaczyć niemą grą ten materjalnie krótki, lecz moralnie wiekowy perjod ciągnący się od chwili zetknięcia się z Aliną w lesie, aż do zwycięstwa i wykonania pierwotnego zamiaru morderstwa, zachwianego widokiem niewinnéj, kochającéj siostry i naturalną obawą lub wstrętem do zbrodni.

Podług Słowackiego Balladyna spełnia morderstwo w drugi z podanych tu sposobów, który ma bezspornie więcéj wpływu na nerwy niż na poczucie prawdy psychologicznéj; cynizm zaś bohaterki swojéj posuwa autor tak daleko, że każe jéj spełniać zbrodnię siostrobójstwa nietylko systematycznie ale z wygódkami, Balladyna bowiem przed uderzeniem każe się siostrze kłaść na trawie. Odnośne jéj słowa są najzupełniéj zbyteczne, reżyserja więc wykreślając wiele innych pięknych ustępów mogła była i te wykreślić, a scena ta zyskałaby tylko. Gra p. *Hoffmann* w tym miejscu zasadzać się winna na mimice, na głębokiém przejęciu się całą piekielną grozą sytuacji, czego właśnie nie widzieliśmy ani czuli, a przynajmniéj w niższym stopniu aniżeli w scenie zabójstwa Grabca i w scenie tronowéj, które do pewnego stopnia były wykończone.

P. *Aspergerowa* (Matka) przybrała nienaturalny i dziwny jakiś organ głosu i z tego powodu stopniowania zachować nie była w stanie. Pisk w rozmowie z Kirkorem, pisk w scenie wypędzenia z uczty, pisk w sali sądowéj—słowem wszędzie pisk i tylko pisk; a przecież sceny takie jak rzu-

cenie przekleństwa podczas uczty i rozprawa z kanclerzem przed torturą, świetne bardzo otworzyły jéj pole.

P. *Wolański* w roli hr. Kirkora był nierównie mniéj dobry aniżeli zwykle. Zbroja, hełm i miecz były mu widocznie uciążliwe a chód, głos i wszystkie jego modulacje były raczéj salonowe niż rycerskie.

Zarzuty te robimy mu niechętnie, zdolności bowiem i widoczne postępy młodego tego artysty uspasabiają nas więcéj do wypowiedzenia mu słów zalety i uznania aniżeli nagany. Trudna jednak rada. Rola Kirkora nie była ani należycie wystudjowana, ani właściwie oddana.

Panna *Baumann* (Alina) wywiązała się z swego zadania nad nasze spodziewanie, mimowolnie jednak myśleliśmy o p. *Parźnickiéj*, która mimo sympatji publiczności zbyt rzadko występuje.

P. *Ładnowski* (von Kostryn) i p. *Nowakowska* (Goplana) robili ze swoich ról co się dało, co zaś do *Skierki* (p. Bendówna) i *Chochlika* (p. Rapacka), to tyle tylko powiedzieć można, że były zbyt mało żwawe i dobrały niestosowne kostiumy. Czyż tuniki z gazy białéj lub różowéj nie byłyby stosowniejsze od linoskoczych z różnokolorowych łamów pozeszywanych sukienek?

Tyle o nieprzydatnéj na scenę tragedji i grze artystów, któréj tą razą pochwalić nie jesteśmy w możności.

Komedje *Viktoryna Sardou* „Poczciwi wieśniacy“ i „Nasi najserdeczniejsi“ (nos plus intimes), dawane na poprzednich wieczorach odegrane były w całości i detalach jak zwykle z tą precyzją i wykończeniem, którego artyści nasi dają zbyt częste dowody. Obok niezrównanego p. *Rapackiego*, podnosimy grę p. *Ekera* w „Poczciwych wieśniakach“ i prawdziwie koncertowe *duo* p. *Nowakowskiéj* i p. *Ładnowskiego* w „Naszych najserdeczniejszych.“ Życzylibyśmy jednak, aby na przyszłym przedstawieniu tejże komedji p. N. więcéj hamowała swoje uczucia dla Maurycego i nie tak gwałtownie spazmowała, a p. *Nowakowski* mniéj karykaturował postać „Mercadeta.“ Zaręczamy go, że takich postaci jak jego Mercadet niema w Paryżu, i że można być komicznym bez wychodzenia po za granice estycznéj formy.

O...le.

PRZEGLĄD KRYTYCZNY

(„Tajny fundusz“ powieść w 2ch tomach p. *Jana Zacharjasiewicza*. Kraków, nakl. Wydaw. „Kraju.“ 1869. — „Hrabia Marjan“ komedja w 4ch aktach p. *Wl. Koziebrodzkiego*. Kraków. 1870).

W jednym z poprzednich naszych „Przeglądów“ mówiliśmy o niepraktykowanéj w żadnym innym cywilizowanem społeczeństwie stagnacji księgarskiego ruchu, jaki u nas panuje. Nie mówiąc już o Zachodzie, wyznać należy ze wstydem, że Rossja pod tym względem o wiele nas wyprzedziła. Nie chcemy tu przesądzać o wartości pojawiających się tam nieprzeliczonych dzieł tak naukowéj jak belletrystycznéj treści, oryginalnych lub tłumaczonych, to tylko wyznać musimy, że publiczność dzieła te z gorączkową żądzą wiedzy rozchwytuje, że w skutku tego honorarja autorskie wzrosły do niesłychanéj u nas wysokości, (30 — 50 rubli za arkusz druku oryginalnéj pracy, a 20 — 40 rubli za tłumaczenie), że zatem liczba piszących wzrastając, tworzy konkurencją, która prawdziwie tylko powołanych w szeregi literackiéj falangi przyjmuje; ta zaś tym sumienniéj i gorliwiéj pracować może, ponieważ byt jéj materjalny jest zabezpieczony.

Jak się u nas dzieje, wiemy aż nadto dobrze, nie będziemy więc dzisiaj powtarzać co już powiedzieliśmy pierwéj, a dodamy tylko, że stagnacja owa nie dając materjału do naszych przeglądów, zmusiła nas do dwutygodniowego milczenia, które dziś wzmianką o dwóch interesujących dziełkach przerywamy.

Utwór pierwszorzędnego naszego powieściopisarza *Jana Zacharjasiewicza* p. t.: „Tajny fundusz“ należy do rzędu tych prac literackich, które o tyle mają więcéj wartości, o ile mniéj gonią za sprawieniem sztucznego efektu, a stroniąc od błyskotliwych paradoksów, czerpią treść swoją z przedmiotowéj strony życia, i otaczają się ową pociągającą naturalnością i łagodnem ciepłem, które czytelnika tak bardzo zniewala.

Powieść o któréj mowa, osnutą jest na tle towarzyskich i politycznych stosunków Galicji przed 30 laty. Autor przesuwa przed okiem czytelnika żywą panoramę owych smutnych czasów, w których duch narodowy zabity piekielnym wpływem zaborców odżywać począł, a poczuwanie się jednostek jako członków jednéj większéj polskiéj całości, zwolna do samowiedzy dochodzić zaczęło.

Od traktatów wiedeńskich (1815) gruba ciemnota zawisła nad Galicją, a bezlitośna obojętność nad sercami jéj mieszkańców. Gospodarstwo starostów powiatowych i komisarzy obwodowych uprawiło pola, na których zeszła bujna głupota i niemoralność. Galicjanie nie czuli się Polakami i bali się nawet tak nazywać, zjadliwy bowiem skorpion, zwany systemem policyjnym i polip szpiegostwa wyssał z ich ciała soki żywotne i puszczał na to miejsce jad podłości.

Szpiegostwo było matką żywicielką biurokracji, a ojcem żywicielem obu był ów srebrnik Judaszowy zapisany w rubryce wydatków państwa pod mianem „Tajnego funduszu.“

Sromotnemi czynami tego „Tajnego funduszu“ jego zabójczym wpływem na urzęda i społeczeństwo zajmuje się powieść p. Z. i stawia naprzeciw niego obudzone prowokacjami rządu poczucie patryotyzmu i zabiegi narodowe emigracji z 31 r. Summą tych zbiorowych usiłowań nazywa on „Tajnym funduszem narodowym“ i wykazuje jak w zatlonéj walce pierwszy zwolna drugiemu ustępuje.

„Rządy policyjne ustały, mówi na końcu Zacharjasiewicz, ale „tajny fundusz“ pozostał. Muszą go nawet parlamenty wotować. Stracił on jednak dawną swą charakterystykę, chociaż nie stracił znaczenia swego i tego co się do niego przywiązuje. Nie działa on tajnie, ale dość widomie.

Żyją z niego dziennikarze, korespondenci, ajenci prassy zagranicznéj, a czasem nawet pod postacią wygodnéj synekury jest nagrodą położonych zasług w obronie zdań parlamentarnych, lub istniejących w społeczeństwie stronnictw . . ."

Taką jest myśl przewodnia pięknéj i zajmującéj powieści Zacharjasiewicza. Sformułowawszy ogólny jéj charakter nie robimy jéj zarzutów, bo na nie prawie nie zasługuje, nie podajemy też treści intrygi, bo życzylibyśmy bardzo, żeby czytelnicy nasi sami się z nią zapoznali.

Uwagi Zacharjasiewicza dotyczące społeczeństwa galicyjskiego jakim było przed 30 laty, dziś jeszcze wielkie mają znaczenie.

* * *

Najnowsza komedja p. *Władysława Koziebrodzkiego* pod tyt.: „Hrabia Marjan" posiada wiele zalet scenicznych, i sądzimy że będzie miała powodzenie. Przyjmujemy ją tém życzliwiéj, ponieważ brak oryginalnych komedji na scenie naszéj dotkliwie czuć się daje, a posługiwanie się niezawsze szczęśliwie dokonanemi tłumaczeniami obcych autorów publiczności naszéj zadowolnić nie może i dodatniemu wpływowi sceny niemałą przynosi ujmę.

Komedja pana Koziebrodzkiego obok zalet technicznych, obok bystrych djalogów i żywéj bardzo akcji zawiera również wiele błędów, na które wkrótkości zwrócimy uwagę szanownego autora.

Przedewszystkiem powiedzieć mu musimy, że tak nawet zajmująco i zręcznie przeprowadzona intryga jak w „Hrabi Marjanie" należytego nie sprawi wrażenia, jeżeli wchodzące w grę charaktery nie będą pełne a odrębności przeciwstawionych osób niedostatecznie usprawiedliwione.

Michał Grocki i hr. Marjan, Elźbieta i bar. Sydonja, Michalina i Róża — wszakże to są moralne aletypody, a przecież autor postacie ich z nierówną odszkicował starannością, a co gorsza w szkicowaniu trzymał się nieumiarkowanie ostateczności. Grocki to łotr i oszust krańcowy, hr. Marjan to abnegat, wyznawca błękitnych idei, płacząca wierzba, gruchający gołąbek, sentymentalny deklamator, bar. Sydonja to kobieta lżejsza od puchu, zmienniejsza od listopadowéj pogody i płytka, Elźbieta znowu zacna, szlachetna, tkliwa ale bez nóg, — słowem wszyscy w ekstremach.

Parski charakterem zupełnie nie jest a przynajmniéj nie charakterem męzkim, jego cofania się przed podłością są trochę próżne, scena zaś gdzie wyznaje prawdę o stanie majątkowym hr. Marjanowi, powinna mieć miejsce w akcie trzecim i uniemożebnić jego rozmowę z Michaliną (akt IV scena III).

Zenon może być typem, ale dzięki Bogu dziennikarzy takich jeszcze nie mamy.

Dobra gra artystów subtelne te usterki zatrzeć będzie mogła, w tym więc razie powodzenie komedji p. K. może być zapewnione, tembardziéj, że jak już powiedzieliśmy, posiada ona wiele pięknych zalet.

O . . . lc.

*** Kalendarz gospodarczy I. J. Kraszewskiego, na rok 1870 wyszedł z druku i sprzedaje się we wszystkich księgarniach po 90 c. Egzemplarz oprawny kosztuje 1 fl. 25 c.

*** Pewien jenerał francuski wynalazł maszynę, która wyrzuca ni mniéj ni więcéj, tylko 5000 kul na minutę. Zatem, w przeciągu 23 godzin można zniszczyć za pomocą téj maszyny całą armię europejską. A faktem jest, że wobec niéj upada wynalazek *wozów* jenerała Mierosławskiego.

Korespondencja „Kaliny."

Panu **P. M.** w Poznaniu. — Ajencję „Kaliny" ma księgarnia p. Leitgebra, prosimy zgłosić się tamże.

P. **Ludwikowi Żor.** — Chętnie. — Lecz gdyby w naszéj było mocy — By w dzień spać można, a balować w nocy.

P. **Ab. Teod.** w Łun — „Kalinę" wysłaliśmy od Nr. 26 włącznie wraz z modami za Październik i Listopad.

P. **R.** w Toruniu. — Żądane numera pod adresami wskazanemi zostały wyekspedjowane. Rachunek zgadza się.

P. **Paulin. Lew.** w Poznaniu. — Chętnie odebralibyśmy słów parę od pana. Oczekujemy listu — i nowin albo ploteczek poznańskich. Wszak jestto grunt nader urodzajny — nie daj się pan prosić.

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

Prenumerata miejscowa „Kaliny" wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: rocznie: 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c. w. a.
Prenumerata zagraniczna: bez **mód** roczme 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.
W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Wiślna, albo w księgarni J. Czecha lub F. Baumgardtena.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.
W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa,** należy przesyłać wprost do Redakcji.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

W drukarni „Czasu" W. Kirchmayera.

Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*